

PAWEL i Gaweł", „Maipa w kapieli", bajka o osiołku, którego postawiono w sytuacji wymagającej samodzielnej decyzji, weszły tak dawno do repertuaru naszej podstawowej edukacji literackiej, że stały się prawie anonimowe. „Prawie", bo na ogół się pamięta, że to są bajki Aleksandra Fredry, nie zawsze jednak umiejscawiając je w kontekście komedii pt. „Pan Jowialski". A to właśnie dzięki niewinnemu hobby starszego pana z Pustakówki przyswoiliśmy sobie na całe życie część jego popisowych numerów, którymi jakby co do czego, moglibyśmy uroznać i nasze, także nierzadko pustakowskie spotkania towarzyskie. Aczkolwiek rozporządzając tzw. środkami masowego przekazu jesteśmy w znacznie lepszej sytuacji, niż mieszkańcy dalekiej, podkarpackiej wioski.

W sporze więc o „Jowialszczyznę" deklaruje się wyraźnie po stronie głównego oskarżonego, którego zamknięcie do zbieractwa i układania przysłów, porzekadeł i rymowanych przypowieści wydaje mi się „rozrywką zdrową i taną", a nawet społecznie użyteczną. Pewnie, że domownikom starszego pana mogła się ta „pasja wesołości" dać srogo we znaki i chyba tylko oni mieliby powód do chandryczenia na ten temat. Ale z nich tylko Szambelanowa, wdowa po ś.p. jenerale-majorze Tuzie ma tę odwagę. Ale może to nie tylko kwestia odwagi, ale i poczucia humoru? Ostatecznie przecież wszyscy się całkiem nieźle bawią w tej Pustakówce właśnie dzięki skłonności głowy rodu do tych nie licujących z wiekiem facecji. Z wyjątkiem prawdopodobnie poszkodowanej na humorze wdowy po generale Tuzie, dla której też bądźmy wyrozumiali. Bo prawdę mówiąc, może raz na zawsze odebrać ochotę do śmiechu takie życie, jakie jej przypadło w udziale, u boku drugiego z kolei małżonka. Jakież tu porównanie z pierwszym mężem, który „przedwcześnie

utonął", zdążywszy ino przedtem stać się ojcem niemowlęcia płci męskiej? A i owo niemowlę też zaginęło bez wieści podczas powodzi. No więc — czy taki złośliwy grymas losu może się zmienić w uśmiech pod wpływem dykteryjek starszego facecjonisty? Szambelanowa ma więc dalibóg powody poważne, aby krytykować wszystko, co się w domu Jowialskich dzieje. Co zupełnie nie asekurowuje jej samej przed śmiesznością. I nie tylko jej. Ano właśnie! Nie byłby Fredro satyrykiem (a że jest, wiemy od dzieciństwa ucząc

ra mu się przecież podoba), jak podśmiewa się z sympatycznego sobie Jowialskiego, starając się zdobyć jego zaufanie, aby móc więcej zebrać materiału dla któregoś tam z kolei rozdziału powieści, satyrycznej, jak należy się domyślać. Wreszcie, jak folguje sobie w kpince z zaściankowego zadufka — Janusza, co to ma rzekomo „rozum i wieś", jak nie oszczędza i innych domowników oraz gości Pustakówki. Jeżeli ktoś w tak sarkastyczny sposób patrzy na swoich współczesnych, gdzież tu miejsce na afirmację takiego właś-

niem modelu życia? Z drugiej strony element krytyki, który tu się przewija jest istotnie daleki od drapieżnie zachępczej satyry społecznej, którą chciałby widzieć w twórczości Fredry niektórzy teoretycy literatury. Czas dzisiejszy sprzyja rozsądnemu podejściu do tego problemu. Po prostu — nie trzeba szukać na siłę tego, czego w utworze nie ma, natomiast starać się wyszukać to, co do dziś nie stało się dla nas interesujące, co może liczyć na rezonans współczesnej widowni.

W tej właśnie rozsądnej koncepcji utrzymane jest przedstawienie „Pana Jowialskiego" reżyserowane w naszym teatrze przez Jerzego Wróblewskiego. Wróblewski nie usiłuje robić z tej sztuki „dokumentu marazmu ziemianstwa polskiego po upadku powstania styczniowego". Bo, jak sądzę, nie zamierzał robić tego i Fredro. Ale po prostu przedstawia nam rodzinę sym-

patyczną i śmieszną zarazem, odgradzoną od świata, pedzącą życie monotonne i puste, przez co komiczne cechy charakteru każdego z nich ulegają kondensacji, nabierają na sile, potęgują się. Czy dlatego akurat, że rzecz dzieje się po klęsce styczniowego powstania? Nie sądzę. Pustakówka mogła istnieć i prosperować równie dobrze w różnych czasach, a nawet krajach. Ostatecznie w tym samym prawie okresie (z dziesięcioletnią różnicą) pisał młodszy od Fredry Gogol swoje „Martwe dusze",

Spektakl jest w ogóle wesoły i często przerywany oklaskami widzów, aczkolwiek nie ma, moim zdaniem, dość prężnego tempa. Wydaje się chwilami, że aktorzy robią całkiem niespodziewane i nieuzasadnione pauzy, jakby właśnie w oczekiwaniu na te oklaski... Wśród młodych aktorów obsadzonych w pierwszoplanowych rolach na czoło wysuwają się: Zbigniew Szczapiński (Ludmir) i Józef Onyszkiewicz (Janusz). Ludmir Szczapińskiego jest pełen wdzięku i dowcipu, a przy tym — w scenach z Helenką — drańsko u-

nas, utrafiając w sedno bez sięgania do chwytów melodramatycznych. Postać Szambelanowa potraktował Włodzimierz Wiszniewski zgodnie z tradycją zapoczątkowaną jeszcze przez Żółkowskiego. W tym ujęciu Szambelan jest typem niazgrabiaszem, a właściciel tumanem. Ale mnie się taka koncepcja nie podoba, bo debilizm to nic śmiesznego. Ponadto nie ma specjalnych podstaw do podejrzenia, że Szambelan jest kretynem, natomiast wiele przemawia za tym, że jest po prostu zahukanym przez wiecnie gderającą żonę pantoflarzem. Jego klatkowo-ptaszkowe hobby, to też pewnego rodzaju ucieczka od rzeczywistości, tej małej, małżeńsko-pustakowskiej, próbą ratowania się z sytuacji, w istocie swej przecież najcięższej ze wszystkich, jaka przypadła w udziale mieszkańcom cichego dworku!

Helenkę gra z wdziękiem, ale może być zbyt małym poczuciem humoru, zdolna młoda aktorka — Ewa Kania, a z trudnej, bo prawie niemiejskiej roli Pani Jowialskiej wywiązuje się całkiem sprawnie Stefania Cybulska. Postać Wiktora — pechowego przyjaciela Ludmira odtwarza poprawnie, ale jakoś bez komediowej fantazji Edwin Petrykat. W ogóle — przedstawienie jest stylistycznie i w poziomie gry aktorskiej dość nierówne, ale w całości stanowi przyjemną i pogodną rozrywkę. O czym zresztą świadczy śmiech i oklaski widzów.

Scenografia Janusza Warpechowskiego wydała mi się nieco nadbyte natrętna w swej symbolice: ściany domu Jowialskich z pretłów, klatki na ptaki wszędzie, gdzie tylko można zawiesić, a na dodatek, na drugim planie — bocian w gnieździe... Ej, figle, figle... Państwowy Teatr im. J. Osterwy. Aleksander Fredro: „Pan Jowialski". Reżyseria — Jerzy Wróblewski, scenografia — Janusz Warpechowski, ruch sceniczny — Barbara Fijewska, asystent reżysera — Edwin Petrykat.

Pogodna jowialszczyzna

WIERA KORNELUK

wodzicielski. Miała szczęście ta Helenka, że się w niej w końcu naprawdę zakochał... No i co tu się dziwić Szambelanowej, że tak wciąż wspomina swego pierwszego męża, zważywszy, że przystojny i uroczy Ludmir okazał się jako syn jenerala żywym jego portretem!

Janusz w interpretacji Józefa Onyszkiewicza jest bardzo zabawny, ale bez nazbyt wyraźnych przejawów farsowego autoramentu. W ogóle Onyszkiewicz zaprezentował się tu jako talent charakterystyczny o niewątpliwie komediowym zacięciu.

Szambelanową gra Nina Czerska — zgodnie z tym, co na temat tej postaci można wysnuć z Fredrowskiego tekstu. Bardzo trafnie rozegrała tu scenę rozpoznania syna, który to moment jako „z innej parafii" jest dość niebezpieczny dla komedii. Czerska i Szczapiński oszczędzili jakoś taktownie i autora i

gdzie też mamy do czynienia z galerią satyrycznych typów. Z tym, oczywiście, że innego to rodzaju satyra... No, ale może za daleko odchodzimy tu od przedstawienia „Pana Jowialskiego". Cieszy mnie, że Wróblewski nie usiłował robić z Pana Jowialskiego „dokumentu marazmu", ani w ogóle doszukiwać się czegoś, czego, moim zdaniem, w tej komedio-farsie nie ma. Pokazał nam spektakl pogodny i dowcipny — czyli że uchwycił to, co dla nas dziś w atmosferze „Pana Jowialskiego" jest najistotniejsze. Urozmaicił poza tym przedstawienie sytuacjami o charakterze czysto farsowym, które zostały przez zespół częstokroć rozegrane z prawdziwym komizmem.

Rolę tytułową kreuje Aleksander Aleksy, konsekwentnie utrzymując się w koncepcji pogodnego facecjonisty, którego dowcipne porzekadła i dykteryjki publiczność przyjmuje ze szczerym rozbawieniem i sympatią.

się na pamięć wymienionych na wstępie bajek), gdyby nie potrafił dostrzec komicznych stron życia swoich współczesnych. Dostrzec i utrwalić w karykaturalnym nieco rysunku, ale nie nazbyt deformującym naturalne proporcje oryginału. Dlatego komedie Fredry pozostaną m. in. kopalnią wiadomości o ludziach tej epoki, bo każda postać wprowadzona do utworu scenicznego musiała mieć swój żywy pierwowzór. Fredro — znakomity obserwator życia kolekcjonował prawdopodobnie z życia wzięte typy, tak jak to robi Ludmir z „Pana Jowialskiego", aby potem odmalować ich konterfekty w kolejnej komedii. W postaci Ludmira utrwalił poeta na pewno jakieś własne rysy charakteru, chociażby tę ciekawość ludzi i życia, zmysł humoru, umiejętność podpatrywania komicznych stron w ludziach nawet sobie sympatycznych. Przypomnijmy sobie jak Ludmir drwi z romantycznej pozy Helenki (któ

nie modela życia? Z drugiej strony element krytyki, który tu się przewija jest istotnie daleki od drapieżnie zachępczej satyry społecznej, którą chciałby widzieć w twórczości Fredry niektórzy teoretycy literatury. Czas dzisiejszy sprzyja rozsądnemu podejściu do tego problemu. Po prostu — nie trzeba szukać na siłę tego, czego w utworze nie ma, natomiast starać się wyszukać to, co do dziś nie stało się dla nas interesujące, co może liczyć na rezonans współczesnej widowni. W tej właśnie rozsądnej koncepcji utrzymane jest przedstawienie „Pana Jowialskiego" reżyserowane w naszym teatrze przez Jerzego Wróblewskiego. Wróblewski nie usiłuje robić z tej sztuki „dokumentu marazmu ziemianstwa polskiego po upadku powstania styczniowego". Bo, jak sądzę, nie zamierzał robić tego i Fredro. Ale po prostu przedstawia nam rodzinę sym-